

WALERY PRZYBOROWSKI.

CIEŃ.

(Powieść z przed stu lat).

Autor zastrzega sobie prawo przedruków i tłumaczeń.

13

— Widmo? zaraz... to tak było, niech Pan Jezus broni! Kiedy jaśnie pan na tę wojaczkę do pana Kościuszka pojechał, w zamku ostały jeno same baby i dziewczki, a odjeżdżając, przykazał podstaroście niemożeszycowi, aby sprowadził mularzy i tę część zamku, kędy są kuchnie, garderoby i izby czeladne, pobielił, bo strażnie w nich ściany były odrapane. Jaśnie pan zawdy wszelakie reperacje kazał robić czasu swej nieobecności, bo okrutnie tego nie lubił... taką już ma naturę. Co robiący, niemożeszyc podstarości zwał mularzy i rujnacja była na dole wielka, wszędzie jeno...

— Ale cóż to widmo?

— Widmo... ano cóż? Kiedy na dole była ta rujnacja, to ja z dziewczką, co jej Magda było na imię, przeniosłam się na spanie, tutaj na górę, do komnaty, w której zawdy stawia książd Opat Świętokrzyski, ilekroć na św. Michał, na imieniny jaśnie pana zjeżdża do zamku; pokój ten jest tam, w prawem skrzydle zamku, panniusia wie?

— Wiem, wiem.

— Otóż to. Co robiący, wtedy jeszcze byłam młodsza i śmigła i nożyśka mi nie bolały jak teraz i po schodach to tak, jak fryga, latałam i ni-jakiej mi też trudności nie robiło wdrapywanie się na górę, nie tak jak teraz, co mam nożyśka popuchnięte jak banie z przeproszeniem. Pewno to Pan Jezus tak mnie pokarał na starość za moje grzechy

— Niechno Gruszkowska mówi o widmie.

— Przecie mówię. To było tak... akuratnie w sam dzień św. Julii. Było już kole godziny dwunastej, kiedym szła z Magdą spać, bo nim się obrządziłam ze wszystkim, nim obejrzałam, czy drzwi zamknięte, czy służba śpi, to i czas upływał do północy. Kiedysmy weszły na korytarz z Magdą, która świecę niosła, książdyc pięknie świecił i przez okna jasne promienie padały, nagle jakiś wiatr zimny na nas powiał, choć to był maj i cały dzień słońce dopiekało, a wszystkie okna w korytarzu były zamknięte. Jak dziś, proszę panniusi, pamiętam, że ten wiatr był taki zimny, że mię dreszcz przejął i ręce mi odrazu skostniały, jakby to był mróz trzaskający, a Magda zawołała: „o laboga, jak tu zimno!“ Nic nie łgam, wszystko prawda, mówię jak na świętej spowiedzi...

— Wierzę, wierzę... Niech Gruszkowska mówi dalej.

— Kiedy tedy Magda zawołała: „o laboga, jak tu zimno!“ zara potem za nami rozległ się jęk taki straszny, jakby kogo zarzynano, albo duszono, a kiedysmy się z Magdą obejrzały, to widziałyśmy wyraźnie, tak jak panniusię widzę, marę, całą w bieli, ni to kobieta, ni Bóg jeden wie, co takiego, bo była taka przejrzysta, że przez nią dostrzegałam ławę, co stała pod ścianą i jeszcze tam stoi. Był to cień, widmo, obłok jakiś, nie szło, ale płynęło i jęczało żałośnie. Jezus, Marya, Józefie święty! zmartwiałam całą, włosy mi się na głowie podniosły, nogi mi tak skostniały, że mi się ruszyć nie mogła i myślałam, że to już moja śmierć nadchodzi. Magda upuściła świecę i ze straszny krzykiem zaczęła uciekać na schody. Aż dudniały pod nią, bo była dziewczka gruba i ciężka jak kafar. Już nie wiem, jak się to stało, ale i ja skoczyłam za nią i takeśmy obie znalazły się na dole i tam w sieni resztę nocy przepędziłyśmy w okropnym strachu.

Poczęłam się dopytywać Gruszkowskiej, do głębi wstrząśnięta tem opowiadaniem, jak to jęczące widmo wyglądało, ale nic więcej nie umiała mi powiedzieć nad to, że była to kobieta, ale na czem ta kobiecość polegała, nie była w stanie określić. Takie miała wrażenie, takie przekonanie, nic więcej. Wreszcie tak zakończyła swe opowiadanie:

— Cóż panniusia powie, w trzy dni potem przyjechał do zamku strzelec Marcinek, plejzerowany w rękę i głowę i powiedział, że tego dnia a raczej nocy, w której ja z Magdą ujrzałyśmy na korytarzu zamkowym białą marę, jaśnie pan został napadnięty przez Niemców, gdzieś tam kole Włoszczowy, ciężko poraniony i dostał się do niewoli. Com ja się naprzeklinała tych pludrów, toby tego na wołowej skórze nie spisał.

— Cóż to byli za Niemcy, cesarscy?

— Gdzie zaś cesarscy, to były te chycle Prusaki.

— Skądże znowu Prusaki?

— A tak, bo i oni wojowali z panem Kościuszką, przekłętą heretyki. No, ale jaśnie dziedzic, chwala Panu Jezusowi, wyzdrowiał i do nas wrócił, choć chorzał długo. Tedy ta mara dała mi znać o niemożeszycu, jakie spotkało ród panów Dziaduszków. Niezbadane są wyroki Boskie.

Wszystko to było bardzo zadziwiające, a choć wychowana we Francji, przekonana byłam, że żadnych duchów niema na świecie i kto raz umrze, więcej się nie pojawia, jednakże nie mogłam nie wierzyć opowiadaniu Gruszki, taka szczerość biła z jej słów, twarzy, ruchów. Chcąc lepiej wy badać staruszkę, zapytałam:

— Czy nikt więcej prócz Gruszkowskiej i Magdy nie widział tego widma?

— Wtedy nikt więcej, bo dziewczki dworskie spały na dole i w oficynie.

— Więc tylko jeden raz to widmo się pojawiło? i Gruszkowska go drugi raz nie widziała?

— Właśnie, że widziałam drugi raz i to nie sama, bo razem z jaśnie panem.

— Z dziaduniem?

— Tak, panniusiu, z jaśnie panem.

— Jakże to było i kiedy? Niech Gruszkowska opowie.

— To było w kilka lat potem, ale już roku nie pamiętam... wtedy, kiedy to s. p. ojciec panniusi, jaśnie pan pułkownik, zabity został gdzieś tam w murzyńskich krajach...

— Wielki Boże! — zawołałam — mój ojciec?

— Tak panniusiu, pan pułkownik.

Silne wzruszenie owładnęło mną. Mój biedny ojciec, wysłany przez cesarza Napoleona na wyspę San-Lomingo, zginął tam w jakiejś utarczce w maju 1802 r. Byłam wtedy dzieckiem dziesięcioletnim, nie bardzo odczuwałam tę stratę, ale dziś przypomnienie mi jej przez starą klucznicę, w połączeniu z historią tajemniczego widma, wstrząsnęło mi boleśnie. Łzy mi się rzuciły do oczów, co widząc Gruszkowska poczęła żałować, że się zgodziła na to, by mi opowiadać te „straszne i dawne historie“, jak mówiła. Potrafiłam jednak wkrótce opanować moje rozrzedzenie i nalegałam na staruszkę, by dalej opowiadała:

— Przecie nie znałam mego biednego ojca — mówiłam — wszystko więc, co się jego dotyczy, interesuje mię bardzo. Niech Gruszkowska nie zwącha na moje łzy, ja teraz tak jestem zdenerwowana, że lada czego płaczę. Proszę bardzo, niech Gruszkowska dalej mówi...

Wzdrażała się przez chwilę, ale wkońcu uległa moim prośbom i tak opowiadała:

— Było to w maju, także w dzień św. Julii i jaśnie pan wieczorem, może była godzina dziesiąta, przysłał do mnie tego pijaka Onufrego Kociubskiego, żebym przysłała na górę, do pokoju jaśnie pana, bo już zabierał się do spania, w jakimś tam interesie, o którym zapomniał mi wcześniej powiedzieć. Wdrapałam się tedy na schody, bo właśnie w tym roku nożyśka zaczynały mi puchnąć, a książdyc także widno świecił i od okien w korytarzu blask na podłogę mocny padał. Wchodzę na korytarz i widzę, jaśnie pan stoi we drzwiach swego pokoju i patrzy w głąb ku bibliotece. Zaraz mię strach śmiertelny zjadł, bom sobie przypomniałam, jak przed kilku laty w tymże samym korytarzu i w tenże sam dzień św. Julii zobaczyłam z Magdą ową białą marę. Jęki też się i teraz rozlegały i wiatr lodowaty szedł po korytarzu. Spojrzę, a owa mara płynie, płynie, jak zawsze przejrzysta, jęczy zupełnie tak samo, jak kiedy wicher w starych kominach świszczy jesienią, a jasny pan żegna się, stoi i patrzy. I powiem panniusi, że mi nie było tak straszno, jak pierwszym razem. Mara doszła do okna naprzeciw akuratnie saloniku panniusi i roztopiła się w blasku miesiąca... Wtedy jaśnie pan odwrócił się do mnie i gada:

— Gruszkowska, widziałas?

— Widziałam, jaśnie panie.

— Pewnie — rzekł dziedzic — jakie niemożeszycie. Boję się o mojego syna.

— A potem to mi surowo nakazał, abym nikomu o tem nie mówiła. Pary o tem, coś widziała — gadał — żebyś mi z gęby nie puściła, nakazuje. Ja też pierwszy raz o tem panniusi mówię. I dobrze jaśnie pan gadał, że pojawienie się tej okropnej mary niemożeszycie zwiastuje, bo w trzy miesiące potem przyszło z urzędu zawiadomienie, że jaśnie wielmożny pan pułkownik, a ojciec panniusi, tego samego dnia, w uroczystość św. Julii, wieczorem, gdzieś tam za morzami i górami przez jakichś dzikusów murzynów zamordowany został. Niemożeszycie i tyle!

Zadziwiające i niezrozumiałe dla mnie były to rzeczy. Bo jeżeli można przypuścić halucynację, przywidzenie w oczach takiej prostej i zabobonnej kobiety, jak Gruszkowska, to już niepojętem było, dlaczego Magda, „dziewka gruba i ciężka jak kafar“, według wyrażenia klucznicy, istota pierwotna i zgola pozbawiona fantazyi, zobaczyła także to widmo, dlaczego widział je dziadunio, mężczyzna zdrowy, żołnierz i myśliwy, nie usposobiony wcale poetycznie i pelen prozaicznego poglądu na życie? Kłamstwa tu być nie mogło, bo i na co? więc ostatecznie coś było, coś niewytłumaczonego, fakt niezaprzeczone, choć dla mnie niejasny. A przytem to pojawianie się widma w chwili jakiegoś niemożeszycia, dotykającego członków rodziny i to, że niemożeszycie te przytrafiają się w fatalny zaiste dla mej rodziny dzień św. Julii, patronki mojej i mej praprababki, pani chorążyny. Co to wszystko znaczy? — pytałam samej siebie, nie mogąc oczywiście rozwiązać tej fatalnej zagadki.

Chcąc zbadać, co Gruszkowska wie o pochodzeniu tego widma i o przyczynie jego pojawiania się, zapytałam:

— Czy Gruszkowska nie wie, czyja to dusza tak pokuje po śmierci? może tu w zamku jaka zbrodnia się dawniej stała?

Staruszka zamyśliła się i odrzekła:

— Hm, dużoby to o tem gadać i kto to wie, co jest prawdą, a co, z przeproszeniem, bajką. Byłam jeszcze małą dziewczuchą, kiedy żył tu w zamku stary burgrabia Wilczek, a miał, jak sam gadał, przeszło sto lat i pomarł niedługo potem. Stary zawsze przed pójściem spać wypijał butelkę miodu, dereniaku, bardzo mocnego i dziedzice mu tego nie bronili, bo to był dawny sługa i dużo wiedział różnych sekretów familijnych. Staruszek był siwiuteńki jak gołąb i miał dużą białą brodę, co w nas dzieciach wzbudzało wielkie dla niego poszanowanie, a dzieci lubiały on bardzo, bo własnych nie miał i jak gadał, ostatni jest ze swego rodu.

Nie przeskadzałam gadatliwej Gruszcze, bo wiedziałam, że to na nic by się nie zdało, a przytem interesowało mię wszystko i każda wiadomość z przeszłości miała dla mnie znaczenie. Wszak Wilczek, zapewne ojciec a może dziad tego, o którym klucznica mówiła, był burgrabią zamku w czasie, w którym pani chorążyna była więziona. Milczałam więc, przelawszy w słuch całą moją duszę.

— A dzieci było wtedy w zamku mnóstwo — ciągnęła dalej Gruszkowska — oficyalistów i służby było dużo, dwór był pański, nie tak jak teraz. Nie było małżeństwa, żeby nie miało po czworo i pięcioro dzieciaków, a były i takie, co ich miały dzieścioro. Dobre to były czasy. A wszystkie te dzieciaki zbiegały się co wieczór do starego Wilczka, bo opowiadał różne bajki i częstował piernikami, które sam zawsze jadł, popijając dereniak. I on to pierwszy zakazywał nam chodzić na górę i włóczyć się po korytarzu z portretami, cośmy często robiły, bo państwa nie było w Zamkowej Woli, jeno mieszkali w innym majątku, Czarnowie, podmie miasta Kielc. Nie chodźcie dzieci, mówił Wilczek, na górę, bo tam ukazuje się mara jednej pani, którą kiedyś w dawnych czasach zadusili w izbie kole biblioteki. To nas strach...

— Jakto? — zawołałam — Wilczek mówił, że udusili?

— A tak mówił, proszę panniusi i to musi być prawda, bo gdyby owa pani umarła, jak się należy i pojednawszy się wprzód z Bogiem, toby po śmierci jej dusza nie błąkała się po zamku. Ja, chociem biedna sługa, to jak jeno doszłam do rozumu, to zawdy na św. Julię, bo pono Julia tej pani na imię było, daje za jej duszę na Mszę św. ojcom w klasztorze Świętokrzyskim. Coby to zaś była za pani i dlaczego ją udusili, ja nie wiem, bo Wilczek o tem nie gadał, a gdy potem państwo z synem, dzisiejszym jaśnie panem, zjechali do zamku i dowiedzieli się o gadaniu Wilczka, to mu surowo zakazali straszyc dzieci. On też niedługo potem pomarł.

Można sobie wyobrazić jak straszne, przynębiające wrażenie wywarło na mnie opowiadanie starej klucznicy. Już teraz nie ulegało najmniejszej nawet wątpliwości, że niemożeszycie moja praprababka więziona była w komnacie poza biblioteką i że tam pełne utraień życie tragicznie zakończyła, zamordowana przez okrutnego tyrana i zbrodniarza, swego męża. Cóż za okropna historia, która powoli, jak nic z kłębka, rozwinięła się przedemną, jedyną wnuczką tego krwawego rodu Dziaduszków. I zdawało mi się, że słowa Boga Mojżeszowego: „Karać was będę za grzechy wasze w dziesiątem pokoleniu“, na mnie się sprawdza.

Chciałam Gruszkowskiej o to i o owo się jeszcze zapytać, ale zjawiła się Zuzia, rozpromieniona, wesola i przerwała naszą rozmowę. Głowa mię przy-